

“Ludzie myśleli, że to koniec świata”

Czas, w którym męczennicy franciszkańscy pracowali w Peru, był bardzo niespokojny. Działania terrorystów planujących atak na Kościół nie były przypadkowe. Atmosferę tych dni wspomina o. Szymon Chapiński, misjonarz, pracujący wówczas w Limie.

W Peru, kiedy zamordowano naszych franciszkańskich misjonarzy, w 1991 roku już od jedenastu lat trwała wojna domowa. Terrorysty, maoiści, (sami o sobie mówili Ludowe Wojsko Partyzanckie), realizowali tzw. wojnę ludową zmierzającą do przeprowadzenia rewolucji komunistycznej. Wielu wojowników czuło już znużenie trwającą tak długo walką. Sam przywódca rewolucji, odczuwał frustrację i przynaglenie, że powinien wreszcie dojść do władzy. Dlatego też Komitet Centralny Komunistycznej Partii Maoistycznej Peru ogłosił, że w tej chwili - zgodnie z nauką rewolucji Mao Tse Tung - osiągnął tzw. równowagę strategiczną, w której siły rewolucji zrównoważyły siły reakcji (rządowe). Tym samym chcieli zakomunikować, że dojrzeliby do przeprowadzenia ataku generalnego. Zaczęli więc szukać obiektu ataku, który mógłby dać im upragniony rozgłos. Wybór padł na Kościół w Peru, a dokładniej diecezję Chimbote.

Na dwa tygodnie przed tragicznymi wydarzeniami w Pariacoto, zaatakowali księdza misjonarza pochodzącego z Hiszpanii, ale zamach nie udał się, ponieważ miejscowi ludzie zdołali obronić duchownego. Terrorysty zostawili go ciężko rannego, jednak kula nie uszkodziła żadnej istotnej tętnicy i misjonarz przeżył. Członkowie „Świetlistego Szlaku” napisali w swojej prasie, że uderzenie w Kościół miało być potwierdzeniem, że wojska rewolucyjne mogą wykonywać już władzę. Taki atak daje rozgłos w prasie. W różnych miejscach okolicy pojawiały się nawet hasła : „Niech żyje Ludowa Republika Peru” lub „Karabinem po władzę”.

9 sierpnia 1991, gdy rewolucjoniści przyszedli do Pariacoto, szukali również władz cywilnych. Ponieważ alcalde (burmistrz) Pariacoto nadal sprawował władzę i miał oparcie w Ojcach franciszkanach, jego również ujęto i pod zarzutem malwersacji, skazano go na śmierć. Szukano też innych, ale nie było tam nikogo uzbrojonego. Gdy ujęto o. Zbigniewa i o. Michała, zmuszano ludzi z wioski, by brali udział w pojmaniu, ale oni nie chcieli. Rewolucjoniści mówili także, że oddadzą misjonarzy z powrotem, że to tylko działanie prewencyjne. Jak dobrze dziś wiemy, kłamali. Wywieźli ich obu oraz alcalde (burmistrza) poza wioskę i tam ich zamordowali.

Gdy wycofywali się w górę samochodami, które zabrali z naszego klasztoru, po drodze spotkali jeszcze jednego samorządowca, wracającego z najbliższej wioski. Było to około godziny wpół do dziesiątej. Zarówno rewolucjoniści jak i on rozpoznali się nawzajem. Na miejscu zastrzelili go i spalili jego samochód. Naszymi samochodami wjechali na wysokość 3000 metrów n.p.m., tam polali je benzyną i spalili. Pariacoto znajduje się niżej, na wysokości ok. 1200 m.n.p.m.

Wszyscy, którzy znajdowali się w domu byli bardzo przestraszeni. Akurat wówczas było w klasztorze dwóch ojców i trzech postulantów. Na wieczorną mszę świętą przyszły też Siostry zakonne, ale nie wszystkie, bo miały swoje zebranie przełożonych w Limie. Na miejscu, w Pariacoto były tylko trzy. Jedna starszka, która nie wiedziała w ogóle co się dzieje, przespała spokojnie całą noc. Druga była na mszy z młodzieżą i została na spotkaniu, które odbywało się po mszy świętej. Trzecia zaś wróciła wcześniej do domu. Gdy zabrali Ojców, nikt nie wiedział co robić. Siostra Berta, która jechała z nimi chwilę w samochodzie, ale została z niego wyrzucona, gdy wróciła, była kompletnie roztrzęsiona, również nie wiedziała, co dalej robić. Był wówczas jeden telefon na całą wioskę, ale tego wieczoru tajemniczo... zniknął! Co ciekawe, następnego dnia pojawił się z powrotem. Gdy ludzie znaleźli ciała misjonarzy, poinformowali o tym resztę wioski. Nie tknięto jednak ich ciał, lecz pilnowano ich z oddaniem, by nic się z nimi nie stało. Wierni czuwali i modlili się przy nich. Wszyscy byli zrozpaczeni,

lamentowali. Niektórzy ludzie bali się, nie wychodzili z domów.

Do mnie zadzwonili dopiero około 3:40. Przebywałem wówczas w Limie. Szybko zadzwoniłem do Polski, do Boliwii i do Kurii Generalnej, aby przekazać wiadomość o śmierci misjonarzy. Gdy biskup dowiedział się o tym tragicznym wydarzeniu, zawiadomił władze i o świcie była już na miejscu policja. Zgodnie z upoważnieniem władz sądowych podjęto ciała i zdecydowano, że należy je przewieźć do szpitala w Casma, celem dokonania sekcji zwłok. W międzyczasie przyjechał biskup i odprawił mszę za trzech zmarłych – wówczas nie wiedziano jeszcze o czwartym, którego zamordowano w górach. Kiedy jechałem do Pariacoto ze znajomymi z Limy, wszyscy bardzo się bali. Ludzie myśleli, że ta rewolucja to koniec świata.

10 sierpnia wieczorem biskup zwołał cały kler oraz zakonnice i modliliśmy się na mszy świętej o godzinie 22:00. Była to sobota i wcześniej, w ciągu dnia wszyscy księża byli zajęci udzielaniem chrztów oraz innych sakramentów. Wspólnie zostało ustalone, że męczennicy pochowani zostaną w kościele parafialnym w Pariacoto, a kondukt żałobny z ciałami z Casma do miejsca pochówku wyruszy w niedzielę o 9:00. Wydawało się, że w ciągu półtorej godziny tam dotrzemy, ale okazało się, że to było błędne myślenie...



Procesja z ciałami o. Michała i o. Zbigniewa

Już w Casma zgromadziło się mnóstwo ludzi, a gdy tylko przekroczyliśmy pustynię, położoną między Casma a pierwszą obsługiwaną przez nas miejscowością, Cachipampa, zobaczyliśmy tłumy wiernych. Ludzie stali z kwiatami, śpiewali, modlili się. Jadąc z ciałami męczenników, musieliśmy stale przystawać. Do Pariacoto dojechaliśmy dopiero o 15:00. Ludzie czekali tam na ulicach już od 10:00 rano. Śpiewali, modlili się, czuwali. Najbardziej wzruszające było to, że śpiewali przez łyżki... O. Michał był tam szczególnie lubiany przez dzieci. Wówczas nie było tam ani telewizji, ani kina, a prąd był tylko w niektórych miejscach. Na katechezę przychodziło bardzo dużo dzieci. Misjonarze wyświetlali tam także różne filmy z taśm, słuchano wspólnie kaset magnetofonowych. O. Michał uczył dzieci i młodzież śpiewać. Sam nawet przetłumaczył piosenkę, którą śpiewał z młodymi w Polsce. Podczas pogrzebu dzieci śpiewały ją, płacząc. To było bardzo wzruszające.

Po przybyciu na miejsce poszedłem do kościoła, gdzie kończono wówczas sarkofagi. Zdecydowaliśmy z biskupem, że pochowamy ich w kościele. Zostali tam pochowani w poniedziałek. W kościele było bardzo dużo ludzi. Mimo tego, że w mediach był uprawiany sabotaż. Okoliczne radia powtarzały uporczywie, że ciała Ojców zostaną odwiezione do Polski. Nigdy jednak nie było takich planów, musieliśmy wręcz prostować, że męczennicy pochowani zostaną w Pariacoto. Jednak fałszywa wiadomość szybko się rozeszła i niektórzy ludzie z gór nie przyszli na pogrzeb. Ciała faktycznie zostały wywiezione do Casma w celu dokonania sekcji zwłok, więc ludzie myśleli, że już nie wrócą. Mimo to ludzi było bardzo dużo. To była wielka manifestacja ich wiary oraz uznania i miłości do misjonarzy, którzy zginęli w Pariacoto.

Opr. Agnieszka Kozłowska